

RICHARD ASKWITH

STOPY W CHMURACH

OPOWIEŚĆ O PASJI
I OBSESJI BIEGANIA



GALAKTYKA

Jako mistrz biegania po górach, Askwith byłby niepokonany, bo wygląda na to, że powodowany głodem wiedzy i pragnieniem jak najrzetelniejszego opisanie tej dyscypliny i ludzi, dzięki którym jest ona tak wyjątkowa, dosłownie poruszył niebo i ziemię – „*Pioneer*”

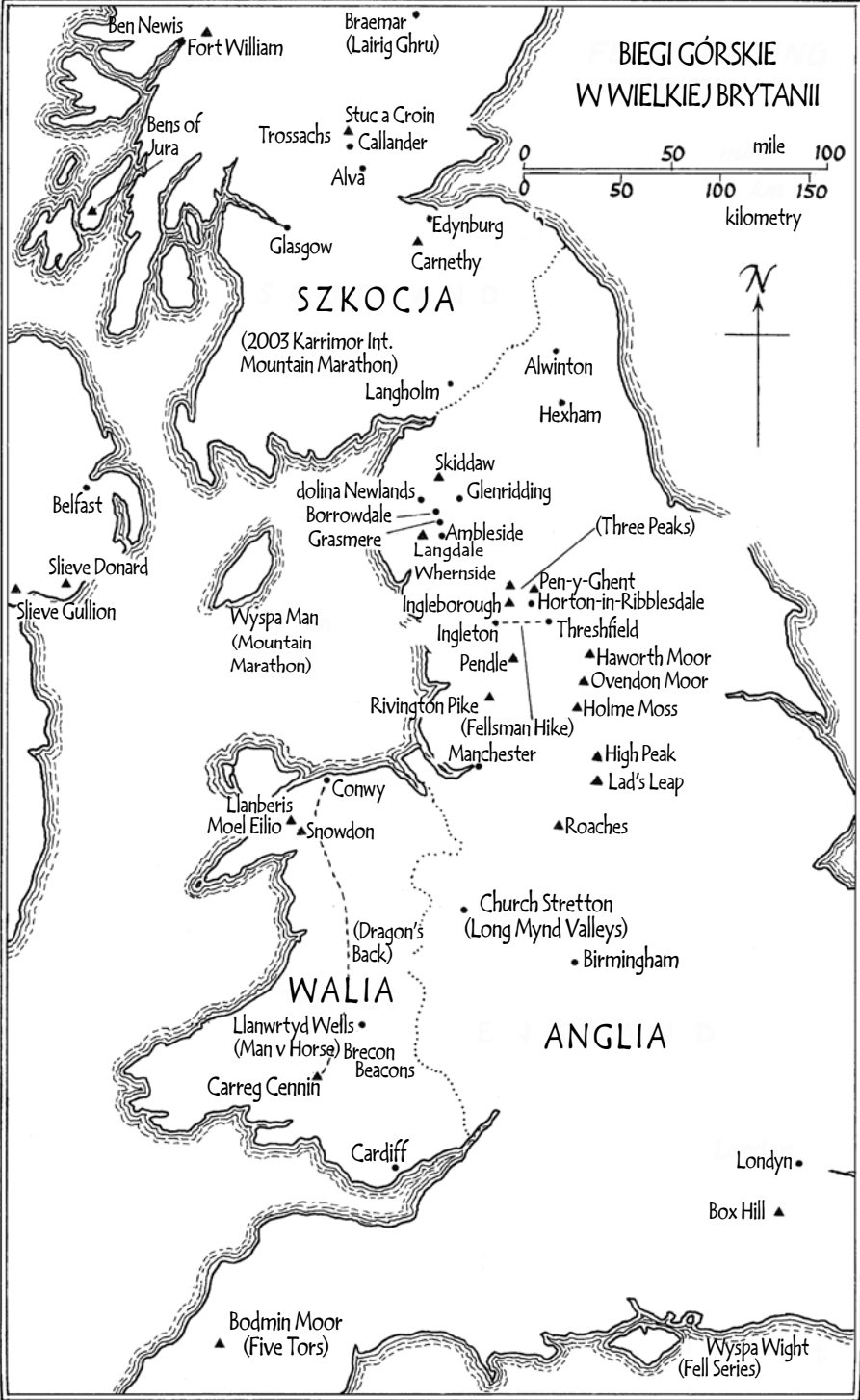
Z pewnością większość czytelników uzna książkę Richarda Askwitha za najlepszą publikację poświęconą biegom górskim, ich bohaterom i historii, jaką kiedykolwiek wydano – „*Keswick Reminder*”

Fascynujący obraz dyscypliny, która w większości przypadków odbywa się bez widzów, jeśli nie liczyć pojedynczych zapaleńców, i której raczej nie ujrzymy na ekranie telewizora w porze największej oglądalności. Dla czytelników jest to okazja do poznania nowego świata. Lektura, od której nie sposób się oderwać – „*Conserving Lakeland*”

Cudowna, zabawna, zakakująca i poruszająca opowieść – „*Daily Telegraph*”

Ta książka (po)rusza! – „*Independent*”

STOPY W CHMURACH



RICHARD ASKWITH

STOPY W CHMURACH

OPOWIEŚĆ O PASJI
I OBSESJI BIEGANIA

Przekład
JACEK ŻUŁAWNIK

GALAKTYKA

Tytuł oryginalny: *Feet in the clouds. A tale of fell-running and obsession*

Copyright © Richard Askwith 2004

First published in Great Britain in 2004 by Aurum Press Ltd. All rights reserved

Pierwsze wydanie angielskie opublikowało w Wielkiej Brytanii w 2004 roku wydawnictwo Aurum Press Ltd. Wszelkie prawa zastrzeżone

WYDANIE POLSKIE

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2014

90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-307-9

Grafika na okładce (postać): © Mike Monahan / Shutterstock

Zdjęcie na okładce (tło): © Robert C Nunnington/Oxford Scientific/Getty Images

Mapy: Reg Piggott

Konsultacja: Krzysztof Dołęgowski

Redaktor prowadzący: Marek Janiak

Redakcja: Elżbieta Derelkowska

Redakcja techniczna: Marta Sobczak

Korekta: Monika Ulatowska

Projekt okładki: Artur Nowakowski

Skład: Studio Garamond, Łódź

Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego

Księgarnia internetowa!!!

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

Zapraszamy

www.galaktyka.com.pl

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

Dla Clare, Isobel i Edwarda

Ostrzeżenie

Rzeczy, o których przeczytasz w tej książce, mogą być niebezpieczne i prowadzić do poważnej kontuzji. Absolutnie nie próbuj ich samodzielnie... lepiej zostać w domu i pooglądaj telewizję.

SPIS TREŚCI

1	Wycisk.....	9
2	Rok z życia biegacza górskiego: styczeń	14
3	Podstawy	18
4	Rok z życia biegacza górskiego: luty	27
5	Dzień pod znakiem szaleństwa.....	31
6	Skąły widzę, skąły.....	44
7	Rok z życia biegacza górskiego: marzec.....	58
8	Pomroka dziejów.....	62
9	Cena tradycji	71
10	Rok z życia biegacza górskiego: kwiecień	84
11	Bill już pojechał do domu?	89
12	Rok z życia biegacza górskiego: maj	102
13	Klub.....	107
14	Latający ogrodnik	118
15	Rok z życia biegacza górskiego: czerwiec	136
16	Londyńczyk	141
17	Król Billy.....	150
18	Teoria biegów górskich	165
19	Legenda Żelaznego Jossa.....	174
20	Rok z życia biegacza górskiego: lipiec	195

21	Ryzyko i odpowiedzialność	204
22	Zagubiony i odnaleziony	220
23	Rok z życia biegacza górskiego: sierpień	232
24	Na tej uświęconej darni... ..	235
25	Ginąca sztuka	252
26	Rok z życia biegacza górskiego: wrzesień	260
27	U Szkotów.....	264
28	Rok z życia biegacza górskiego: październik	276
29	Zdolność przetrwania.....	279
30	Rok z życia biegacza górskiego: listopad	296
31	Poniżej dwudziestu czterech godzin	300
32	Rok z życia biegacza górskiego: grudzień.....	312
33	Z górki.....	315
34	Widok z góry	321
	Podziękowania	331

1 WYCISK

TAK MUSI SIĘ czuć człowiek, kiedy umiera. Nie chodzi o ból, choć wyobrażam sobie, że prawie każda śmierć jest bolesna. Idzie o strach. Przed czym? Boję się powiedzieć.

Coś mi się stało. Nie potrafię sobie przypomnieć, od ilu godzin dokoła mnie szaleje burza. Już sam nie wiem, jak długo biegnę – raczej: staram się biec – w górach. Zagubiłem się, dosłownie i w przenośni. Drży bodaj każdy mięsień mojego ciała, stopy – bąbel na bąblu, oprócz tego bolą mnie stawy, a ciepło i energia uchodzą ze mnie jak para, która ucieka z czajnika przez gwizdek.

W powietrzu wisi lodowata mgła, przylepia się do wszystkiego, przytłacza i zamienia popołudnie w zmierzch. Chaotyczne poddmuchy wiatru targają kłębamii mgły, której tumany wyglądają niczym żagiel w łopocie na wzburzonym morzu. W porywach wichru przemykają rozmazane zjawy: ziarnka gradu, mroczne kształty, pobłyski błyskawic, fale wściekle siekącego deszczu. Moja widoczność ograniczona jest do kilku metrów, z wyjątkiem tych chwil, w których burza z hukiem rozpruwa zasłonę ciemności i naraz okazuje się, że niemal z każdej strony czają się koszmarnie urwiska. Mapa i znajomość terenu podpowiadają mi, że tutaj nie powinno być żadnych urwisk. Błysk trwa zbyt krótko, żebym zdążył się zorientować.

Zatrzymałem się. Chociaż nie – kuśtykam, ale tak żałośnie i bezcelowo, że nie sposób uznać moich podrygów za poruszanie się. Co teraz? – myślę. Jestem postawnym, silnym i wysportowanym mężczyzną, mówię basem, mam szerokie bary i owłosioną klatkę piersiową. Mam rodzinę. Pracuję w Londynie, jestem szefem zespołu utalentowanych dziennikarzy. A teraz po prostu chce mi się płakać.

Mój płacz nie wynika z rozpacz. Jest to raczej wyraz pierwotnego – powiedziałbym: zwierzęcego – cierpienia zranionej i przerażonej istoty; jest w nim użalanie się nad sobą, ale i panika. Coś poszło źle, bardzo źle.

Nie pomaga mi to, że kompas wariuje i nie potrafi pokazać, gdzie jest północ. Ani to, że skręciłem kostkę. Mimo to przyjmuję kontuzję niemal jak zbawienie, bo wiem, że jeśli skupię się na pulsującym bólem stawie i na drobnych odłamkach szkła, udających lodowaty deszcz i wściekle siekających w moje ubranie, wówczas przypomnę sobie, w jakim stanie byłem godzinę wcześniej – oplakany, to prawda, ale przynajmniej wciąż byłem sobą. Teraz czuję się jak bezzałogowy pojazd albo jak biedne, nagie, zaszczute zwierzę, bezradnie kulące się ze strachu na skałach.

Niewykluczone, że tak właśnie czuje się ranny żołnierz, gdy z ostatnim tchnieniem wzywa imię matki; na powrót staje się dzieckiem, ogarnia go dojmująca bezradność. Z tą różnicą, że ja jeszcze nie umieram – ale umrę, jeśli nie wymyślę, co dalej.

Tyle że nic nie potrafię wymyślić.

Czuję się senny. Od ponad ośmiu godzin jestem w ruchu. I – powiem to raz jeszcze – nie mam zielonego pojęcia, co robić. Zaczyna mi być dziwnie ciepło. Najchętniej bym się położył.

Ale jeszcze nie teraz. Wciąż jestem w stanie myśleć, na szczęście do tego stopnia spójnie, by zdawać sobie sprawę, że właśnie myślenie jest teraz moją deską ratunku. Istnieje rozwiązanie mojego problemu, wystarczy się tylko zastanowić.

Myśl zatem. Nie jest jeszcze aż tak źle. Gorzej, gdybym wisiał na krawędzi urwiska, trzymając się resztkami sił. Gorzej, gdybym miał złamaną nogę. Albo obie nogi. Gorzej, gdybym zgubił się w Himalajach i błąkał się przez wiele dni. Miliony ludzi przede mną musiały sprostać dużo trudniejszym wyzwaniom, nie tylko podczas wypraw takich jak ta, ale na przykład w czasie wojny albo klęski żywiołowej. Wielu porzuciło nadzieję i odebrało sobie życie. Ale też wielu kurczowo trzymało się jednego i drugiego.

Lepsi ode mnie lamentowali i kulili się ze strachu, lecz również niejednego – także lepszego ode mnie – takie doświadczenie zahartowało. Pomyśl o nich. Pomyśl o Erneście Shackletonie, beznadziejnie zagubionym pośród antarktycznej nocy. Pomyśl o Joem Simpsonie, z połamanymi kończynami umierającym w andyjskiej dolinie. Pomyśl o wszystkich żyjących w czasach przed pojawieniem się mojego lubiącego sobie dogadzać pokolenia baby-boomersów, o tych, którzy wiedli naprawdę trudny żywot i nie skarżyli się, nie zniżali się do użalania nad sobą w obliczu klęski. Pomyśl o ojcu i mężczyznach, którzy u jego boku walczyli w drugiej wojnie światowej. Pomyśl o ludziach, którzy całe życie spędzają w tych górach. Pomyśl o Jossie Naylorze.

Joss Naylor! Poczucie wstydu przywraca mi czujność. Ależ ze mnie żaloszny, próżny japiszon, biadolący nad sobą i marzący o gorącej kąpieli – bo boli mnie kostka, mam zepsuty kompas i muszę stawić czoło padającemu niemal poziomo gradowi. Na miłość boską, przecież jestem w Anglii! Do najbliższej drogi mam zapewne nie więcej niż kilka kilometrów. Temperatura na pewno nie spadła aż tak bardzo poniżej zera. Mogę się wlec na czworakach, nie wiem, mniej niż dziesięć kilometrów, a mimo to do poniedziałku dotrę do domu. Zresztą i tak, zanim bym zdążył wyzionąć ducha, ktoś przysłałby po mnie ekipę ratunkową. Najważniejsze jest jednak to, że jestem biegaczem górskim!

To oznacza, że jestem ulepiony z tej samej gliny, co Joss Naylor, Billy Bland, Ken-ny Stuart i Bill Teasdale, jestem z tej samej bajki, co Ian Holmes i Helene Diamantides. Ciężko, co? No i dobrze, bo ma być ciężko! Jeśli nie dam rady, to powinienem zabierać dupsko z powrotem do Londynu, czyli tam, skąd przyjechałem.

Głęboko zakorzeniony szacunek dla samego siebie wysła impuls do woli przetrwania. Muszę znaleźć siły, by biec dalej. Dokądkolwiek. No, prawie. Byle nie w dół urwiska jak z koszmaru. Ale poza tym dokądkolwiek.

Pora zaufać ostatniej deseczce ratunku: kompasowi. Jeśli urządzenie się nie myli i jeśli poprawnie oszacowałem swoją pozycję, powiedzmy: z dokładnością do mniej więcej kilometra, to w takim razie muszę pobiec tędy – kompas twierdzi, że tam jest „południe” – i prędzej czy później przetnę ścieżkę, na której znajdowałem się pół godziny wcześniej.

Ruszam więc. Kuśtyk, jęk, kuśtyk, jęk. Albo raczej: kuśtyk, jęk, szczęk-szczęk-szczęk (to moje zęby), kuśtyk, jęk, szczęk-szczęk-szczęk. Biegnę w dół, choć powinienem w górę, ale co tam! Ważne, że poruszam się w linii prostej, bo wtedy przynajmniej mam pewność, że dokądś dotrę.

Wiatr nie odpuszcza, atakuje od tyłu, ale ignoruję go. Koniec z marudzeniem. Pomyśl o Eddiem Campbellu, który na przekór burzy śnieżnej w Glencoe biegnie w samych tenisówkach, mając w kieszeni anoraka jedynie garść landrynek – broń przeciwko hipotermii. Pomyśl o twardzielach – mężczyznach i kobietach – którzy codziennie biegają po tych skałach.

I proszę bardzo, oto wylania się ścieżka. Wprawdzie nijak nie przypomina tej, po której niedawno biegłem, ale zignorujmy ten fakt. Każda ścieżka dokądś prowadzi. Pobiegnę na zachód i albo dotrę do miejsca, które już znam, albo... kto wie, może natrafię na tę dużą rzekę, przecinającą sąsiedni kwadrat na mapie, albo spotkam drugiego człowieka.

Zmuszam się do biegu, choć nogi trzęsą mi się tak bardzo, że potykam się nawet o niewielkie kamyki. Nie potrafię opisać bólu: z każdym krokiem łąduje

na ostrych, kamieniach, które kłują jak szpile albo wyslizgują się spod stóp, bądź robią jedno i drugie. Uda stanowczo protestują za każdym razem, gdy podnoszę nogę, a kiedy stawiam stopę na ziemi, całe ciało wyje z bólu. A niech wyje – nie trzeba słuchać. Uczucia są dla dziewczyn. Umysł wypełniają mi myśli o wytrzymałości, o brutalnej, nieokrzęsanej sile woli, której czasem udaje się poskromić nieprzyjazne góry. Pomyśl o Simonie Bolivarze i jego głodującej, półnagiej armii, błędzącej po omacku i wspinającej się na najniebezpieczniejsze szczyty Andów. Pomyśl o George’u Brassie, kuśtykającym przez zamieć w jednym bucie, nie tylko po to, by wygrać najtrudniejszy bieg górski lat sześćdziesiątych, lecz by zostać jedynym, który go ukończył. Kuśtyk, jęk, kuśtyk, jęk. Przynajmniej jest mi ciepło.

Jakiś czas później – nie potrafię powiedzieć, ile go minęło – uświadamiam sobie, że znajduję się na właściwym szlaku. Co prawda akurat nie w tym punkcie, w którym powinienem być – tę wąską skalną szczelinę minąłem kilka godzin wcześniej – ale przynajmniej znalazłem dobrą drogę. Widać zatoczyłem koło albo może raczej biegłem po ósemce. To już nieistotne, bo teraz przynajmniej, jeśli skonfrontuję wskazania kompasu z mapą, z dużą pewnością będę mógł ustalić swoją pozycję. Tak też robię. W następnej chwili, widzę – niczym znak od Boga – rysujące się we mgle dwa cienie: ludzie. Idą w moim kierunku. I oto wyłaniają się z gęstej bieli dwaj mężczyźni o czerwonych twarzach, szczerze opatulenieni w lśniące od deszczu sztormiaki. O, mogę się z nimi skonsultować!

– Przepraszam najmocniej – odzywa się jeden z nich. – Czy nie wie pan, gdzie się znajdujemy?

Pokazuję im właściwy – jak mi się zdaje – kierunek i znów ruszam bolesnym truchtem. Czuję się pewny siebie. Nawet jeśli nie będę się zanadto spieszył i jeżeli zdołam uniknąć dalszych wpadek z nawigacją, od gorącej kąpieli dzielą mnie zaledwie dwie, trzy godziny drogi. (*Dwie lub trzy godziny? Dobry Boże!*) Przystaję o tym myśleć. Gorąca kąpiel jest dla dzieci. A ja jestem biegaczem górskim. Jeśli zajdzie taka potrzeba, znów będę wielkim, silnym facetem: na tyle wielkim i silnym, by dodać otuchy dwóm spanikowanym piechurom. Mam mapę i działający (chyba) kompas. Jestem władcą gór.

Myślę o Jossie Naylorze, który niczym wściekle zwierzę przeskakuje z jednego wierzchołka góry na drugi; jest rok 1972, środek nocy, okropna burza. O Billu Teasdale’u, brnącym przez mgłę i grad; jest rok 1953, trwa Lake District Mountain Trial, zawodnicy oficjalnie biorący w nim udział, którzy uznali, że Bill nie zasługuje na to, by się z nimi ścigać, mozołą się kilka kilometrów za nim. O Helene Diamantides, która w 1992 roku podczas wyścigu Dragon’s Back zostawiła da-

leko z tyłu wykończonych, pochlipujących spadochroniarzy. O Martinie Stonie, który w 1985 roku rzucił wyzwanie Pen Llithrig y Wrach, ostatniemu szczytowi trasy Paddy Buckley Round, gdy w 1985 roku bił jej rekord. O Kennym Stuarcie, lekkim krokiem, jak baletnica, biegnącym w górę i w dół Ben Nevis w 1984 roku. O wyczynie Dalzella z 1910 roku. O wszystkich tych cudownych rezultatach ludzkich starań, o bohaterach, których nazwiska rozplynęły się w górskiej mgłę dziejów. Gdy spotkają się człowiek i góra, dzieją się rzeczy wielkie, a choć zaledwie jeden na stu Brytyjczyków ma jakiegokolwiek pojęcie o prześwietnych władcach swych gór – brawurowe popisy największych biegaczy górskich wspańnością dorównują wyczynom przedstawicieli innych dyscyplin sportowych.

To dziwne, ale czuję w sobie ich obecność. Kiedy zacznę długą, długą podróż w dół do jeziora, przy którym zostawiłem samochód, czuję przypływ adrenaliny: ŁUP-łup-ŁUP-łup-ŁUP-łup. Już prawie nie kuśtykam. Jestem złany potem, jakbym biegł w pełnym słońcu. Od czasu do czasu odrzucam głowę do tyłu i pozbywam się kropli spływających mi po twarzy. Biegnę zgodnie z wewnętrznym rytmem. Jestem bokserem, okładam pięściami gruszkę, podskakuję, tańczę wokół niej. Nie zwalniać, przyspieszać, niech zadziałają odruchy. Przede wszystkim dyktować warunki. Kiedy spotykają się człowiek i góra, obowiązuje jedna, niezmienna od wieków zasada: rządzi albo człowiek, albo góra. Nie może być tak, że oboje robią to jednocześnie.

Pół godziny później, kiedy docieram na dół, już wiem, że góra odzyskała władzę. Mój rytmiczny bieg znów bowiem przerodził się w zbolale powłóczenie nogami, a rzucanie głową już nie świadczy o agresji, ale raczej o desperacji. To już nieistotne; jestem na dole, zostało mi jeszcze kilkaset metrów kuśtykania po asfalcie i niedługo będę przy aucie. Teraz zmuszę się do pokonania ostatniego odcinka truchtem i dopiero potem pozwolę sobie pomarzyć o gorącej kąpieli.

Do samochodu docieram, maszerując. Myśli o kąpieli osłabiają każdy mój krok. Wreszcie otwieram drzwi i padam na fotel kierowcy. Przebieram się w suche ubranie, siadam za kierownicą i zasypiam.

Oto, co robię dla przyjemności.

31 PONIŻEJ DWUDZIESTU CZTERECH GODZIN

KILKA TYGODNI PRZED CZWARTYM podejściem do Bob Graham Round dotarło do mnie, że tym razem naprawdę może mi się udać. Byłem na przedmieściach Plymouth, biegłem poboczem z trzydziestokilogramowym plecakiem, pokonałem trzy lub cztery kilometry z pnącego się pod górę szesnastokilometrowego odcinka, prowadzącego do stojącego na skraju Dartmoor domu rodziców mojej żony Clare.

Pojechaliśmy do nich na dziesięć dni. Clare z dziećmi wyruszyła nieco wcześniej, a ja musiałem jeszcze na krótko wyjechać w sprawie pracy (pojawienie się na świecie drugiego dziecka sprawia, że o dziwo niecierpliwie wyczekujesz dnia, w którym będziesz mógł wybyć na dłuższy czas do rodziców). Przebiegnięcie się ze stacji kolejowej do domu teściów z wakacyjnym bagażem (dociążonym książkami) na plecach stanowiło pierwszy etap ostatniej fazy intensywnych przygotowań do Boba Grahama. Już po kwadransie zrobiło mi się żal samego siebie. Biegacze tak mają. Im dokładniej poznajesz swoje możliwości, tym bardziej porażają cię chwile, w których uświadamiasz sobie, że właśnie przekroczyłeś ich granice. Ból – fizyczny i umysłowy – jest jak kopniak w brzuch: tępy i osłabiający. Boże, jęczysz pod nosem, co ja narobiłem? Nie wytrzymam nawet minuty, co dopiero godzinę. Jeżeli chcesz zostać dobrym biegaczem, musisz między innymi nauczyć się kontrolować i podporządkowywać sobie takie chwile. Ale przecież nawet najlepsi pękają, jeśli błędnie oszacują tempo – i oni też potrafią użalać się nad sobą.

Ja nie pękalem, ja się roztopiałem. Żar był potworny, plecak i nogi ciążyły mi jak ołów, moją koszulkę można było wyrywać, a skromne śniadanie, które zjadłem wieki temu, było już tylko odległym wspomnieniem.

– Boże – mruknąłem pod nosem. – Dlaczego nie posлуchałem Clare, kiedy mówiła, że to głupi pomysł? Jak długi dystans powinienem jeszcze pokonać i jaką wymówkę wymyślić, zanim będę mógł zadzwonić do żony i nie tracąc przy tym twarzy, poprosić ją, żeby po mnie przyjechała?

Wtedy nagle wszystko stało się jasne. Zupełnie jakby przed moimi oczami rozsunała się gruba zasłona.

Jeśli się teraz zatrzymasz – odezwał się głos w mojej głowie – już nigdy, przenigdy nie zdołasz ukończyć Bob Graham Round. Cały trening pójdzie na marne. Okaze się, że przez te wszystkie wypełnione obsesją lata oszukiwałeś sam siebie. Zatrzymaj się teraz, a równie dobrze będziesz mógł odwołać czwartą próbę. Przynajmniej przestaniesz marnować czas swój i innych. Pal sześć dotychczasowe przygotowania i trening, który dopiero masz przed sobą. Liczy się wyłącznie ta chwila. Poddaj się teraz, a już zawsze będziesz się poddawał. Weź się w garść, a wówczas... może niekoniecznie uda ci się pokonać Boba Grahama, ale przynajmniej będziesz miał jakąś szansę. Wyobraź sobie, że dziś są twoje zawody kwalifikacyjne. Walcz, bo za skarby sobie nie poradzisz, jeśli nie nauczysz się z tym żyć. Z „tym”, czyli z bólem i wszechogarniającym poczuciem zniechęcenia.

Prawdziwą barierą było właśnie zniechęcenie – uczucie, o którym już wcześniej pisałem, uporczywe pytanie: „Czy naprawdę podoba mi się to, co robię?”. Życie z bólem jest stosunkowo proste; wystarczy się nauczyć, jak się od niego odgrodzić. Lęk jest bardziej uciążliwym partnerem, zwłaszcza jeśli wraz z nim przychodzi świadomość, w jak rozpaczliwej sytuacji się znajdujesz i jak dużo bólu będziesz musiał jeszcze znieść, jeśli chcesz konsekwentnie trzymać się założonego planu. Aby opanować strach, należy świadomie spotęgować ból – wykonanie tej sztuczki może się okazać trudne dla przeciętnego człowieka.

Lecz tak właśnie postępują zawodnicy pokroju Billy’ego Blanda i Jossa Naylora: spacerują na krawędzi nie z ignorancji, lecz zupełnie świadomie; nie kurczą się z bólu, lecz wywołują go. Czy byłbym w stanie zrobić to samo? Czemu nie? Przecież jestem człowiekiem, takim samym jak oni, pomyślałem. Brakowało mi ich talentu sportowego, co sprawiało, że pomysł, iż poradzę sobie również bez ich siły umysłowej, wydawał się tym bardziej ryzykancki.

Poszedłem na układ z samym sobą: *jeśli teraz się nie zatrzymasz, będzie to oznaczało, że poradzisz sobie z Bob Graham Round*. Wiedziałem, że to nonsens, jak większość takich „układów”. Ale wiedziałem też, że to prawda. Jeśli teraz się poddam, już zawsze będę się poddawał. Jeżeli zamierzam nadal uprawiać biegi górskie, mam tylko jedno wyjście: biec dalej. Biec i nie zatrzymywać się, cokolwiek się stanie. Nieważne, jak długo to zajmie, nieważne, jak bardzo będzie bo-

łało. Biec albo polec. Ta chwila zawiera w sobie wszystkie inne. Zapanuj nad nią, a wszystko stanie się możliwe.

Idiotyczna rozprawa. Gdy ją czytam, wydaje mi się śmiechu warta. Ale wtedy co do jednej rzeczy nie miałem żadnych wątpliwości: że jeśli nie zdołam dokończyć tego biegu, z całą pewnością za dwa tygodnie nie uda mi się zaliczyć czterdziestu dwóch szczytów w ciągu dwudziestu czterech godzin. Oszukiwałbym samego siebie, gdybym myślał inaczej – właśnie! To był przełom. Zdałem sobie sprawę, że przecież nadal potrafię oszukiwać samego siebie. Jeśli zechcę, mogę to teraz zrobić. Mam wybór.

Wybrałem.

Biegłem dalej. Mozoliłem się pod górę, uliczka za uliczką, powoli pokonując kolejne kilometry. Buty obcierały mi stopy, plecak zdierał skórę z ramion, a mokra koszulka kleiła się do pleców. Płuca nadymały się i opadały, aż myślałem, że pękną. Mózg pulsował, aż myślałem, że rozsadzi czaszkę. W życiu bym nie przypuszczał, że na tak krótkim odcinku zmieści się tak długa pochyłość. Nogami jak z waty przebiebrałem tak niemrawo, że w każdej chwili spodziewałem się wyrznąć o ziemię. Ale wiedziałem – i to już od ósmego kilometra – że nie ma innej możliwości: będę parł przed siebie. Ta pewność – ten psychiczny spokój – schwyciła ból i zamknęła go w garści. Byłem silniejszy od wszelkich emocji – ponieważ tak wybrałem.

Od tamtej pory wszystko, co związane z Bob Graham Round, wydawało mi się proste. Dotarłem do domu. Umyłem się. Odzyskałem siły. Bawiłem się z dziećmi, byłem dobrym rodzicem, robiłem to, co robi się w wakacje, i dwa razy dziennie biegałem po okolicznych wzgórzach. Dopiąłem na ostatni guzik kwestie logistyczne związane z Bob Graham Round i wciąż powtarzałem sobie, że jeśli chcę odnieść sukces, muszę po prostu dobrze wybrać.

Jednego z takich wyborów mogłem dokonać już na miejscu. W jednym z wcześniejszych rozdziałów wspomniałem o pewnym punkcie na szlaku Boba Grahama, pomiędzy Scafell Pike a Scafell, który najszybciej można pokonać, wspinając się po Broad Stand. Wspomniałem również (czy nie?), że cierpię na potworny lęk wysokości i do tej pory za każdym razem, gdy mijalem to miejsce, perspektywa wspięcia się na Broad Stand napelniała mnie panicznym strachem. Ale nie wspomniałem – bo bałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą – że za drugim i trzecim razem, gdy mierzyłem się z Bob Graham Round, w ogóle ominąłem Broad Stand i skorzystałem z okrężnej drogi przez Lord's Rake, która jest o dziesięć, a nawet piętnaście minut dłuższa.

Z tej okrężnej drogi (albo z drugiej, prowadzącej przez Fox's Tarn) korzysta większość piechurów, pobiegło nią też wielu biegaczy, którym udało się poko-

nać Bob Graham Round. Wszyscy zgadzają się co do tego, że strach przed Broad Stand pozbawia sił i spowalnia na tyle, że czasowo wychodzi na to samo, czy trawisz kwadrans na obiegnięcie tej pionowej ściany, czy też pokonujesz ją powoli, mozolnie i z duszą na ramieniu. Prawda, że to sensowny argument? Czy może raczej oszukiwanie samego siebie?

Jasne, że się oszukiwałem. Niewykluczone, że inni biegacze mają wystarczająco dużo umiejętności i wytrzymałości, by lekką ręką poświęcić kwadrans na okrężną drogę, ale ja – nie. Jeżeli mimo wszystko wybiorę dłuższą trasę, będzie to oznaczało, że widocznie nie chcę, żeby mi się udało – tak sobie tłumaczyłem. Zastanowiłem się nad tym i wyszło mi, że stawiając wcześniej czoło Bob Graham Round, paradoksalnie być może rzeczywiście wcale nie chciałem, żeby mi się powiodło.

Brzmi to absurdalnie, ale wcale tak nie jest. Nie chodzi o to, że przez te wszystkie miesiące trenowałem, nie czując pragnienia zwycięstwa, albo że nie marzyłem o powodzeniu, startując do biegu i będąc już na szlaku. Ależ oczywiście, że chciałem odnieść sukces. Tyle że mijały godziny, ból i zmęczenie narastały, a ów końcowy sukces z każdą chwilą wydawał mi się coraz mniej pociągający. Wdrapywałem się na Steel Fell i czując w stawach osiem godzin biegu, i mozoląc się dosłownie z głową w chmurach, coraz dobitniej zdawałem sobie sprawę z przygnębiającego rachunku – że powodzenie tego przedsięwzięcia (czyli wytrzymanie aż do samego końca) przekłada się na szesnaście godzin dalszej – momentami gorszej – męczarni; zaś dzięki porażce (wypracowaniu takiej straty, że z czystym sumieniem będę mógł zrezygnować) za osiem godzin znajdę się w wannie z gorącą wodą. Sama kalkulacja nie wystarczyła, bym rzucił ręcznik, ale pragnienie wygranej pozbawiła całej intensywności.

Logiczne. Ale logiczne było też uczciwe i pełne skupienie się na owym rozrachunku przed kolejną próbą zmierzenia się ze szlakiem Boba Grahama; przyjrzenie się dodatkowym godzinom bólu tak wyraźnie, jak podczas samej próby; przywołanie wspomnień najgorszych chwil, największej udręki i strachu; rozczulanie się nad sobą na zapas – a potem zadanie sobie pytania: chcę tego czy nie?

No właśnie: czy chciałem tego? Musiałem powtórzyć cały proces kilka razy, zanim w końcu uzyskałem odpowiedź, która nie była ani oszukiwaniem samego siebie, ani poddawaniem się defetyzmowi. Po wprowadzeniu pewnych poprawek do swojego toku rozumowania, doszedłem do pewnego wniosku: nie chcę zrezygnować z Bob Graham Round. Chcę spróbować jeszcze raz. Nie chcę po-

nieść porażki. A zatem chcę odnieść sukces. Pragnę więc sukcesu i wszystkiego, co się z nim łączy: bólu, wyczerpania, zimna, rozciągniętych na pełne dwadzieścia cztery godziny, a nie piętnaście czy szesnaście. No i oczywiście pragnąłem wspiąć się na Broad Stand.

– Ale... Ale... – słyszałem, jak jąka się słabsza część mnie.

– Chcesz ukończyć ten wyścig czy nie? – padło zdecydowane pytanie silniejszego ja.

Od tej pory – co dziwne, biorąc pod uwagę historię moich starć z Bob Graham Round – ani przez chwilę nie zakładałem, że wrócę pokonany z potyczki z górami. Nie myślałem o przerażającej wspinaczce na Broad Stand. Moja decyzja, że to zrobię, że mi się uda, była ostateczna, więc po co miałem się zamartwiać? Ostatni etap treningu przeprowadziłem sumiennie, ale bez obłędu w oczach. Dogadałem szczegóły logistyki dokładnie, ale bez maniakalnej dbałości o drobiazgi. Przy okazji dwóch ostatnich prób dzień przed biegiem moje ciało przypominało sobie, jaką mękę przechodziło poprzednio, i reagowało paraliżującą treścią, lecz tym razem byłem zaskakująco wyciszony i spokojny. Czym tu się martwić? Wziąłem swój los we własne ręce.

Kiedy po raz czwarty wziąłem się za bary z Bob Graham Round, zrobiłem to z mniejszym wsparciem. Ponieważ decyzję o kolejnej próbie podjąłem zaledwie kilka tygodni wcześniej, i to raczej pod wpływem impulsu, niestety było już za późno na to, żeby niektóre osoby wchodzące w skład mojej ekipy – w tym Gawain i Charlie – zmieniły swoje plany. Nie przejąłem się, bo tym razem miałem zamiar polegać przede wszystkim na sobie.

Dzień próby zaczął się, chciałoby się powiedzieć, jak zwykle: równo o północy, kiedy to Clare wybudziła mnie z krótkiego, acz głębokiego snu. Godzinę później, wyzbywszy się sennej słabości, wyruszyłem z Charlesem u boku i przypuściłem atak na czarne zbocze Skiddaw.

Dalej wszystko okazało się zaskakująco proste. Staralem się trwać w specyficznym półśnie tak długo, jak to możliwe, i oszczędzać zapal i adrenalinę na potem. Noc była pochmurna i ciemna, ale nie nieprzenikniona. Nie czulem się ani szczęśliwy ani nieszczęśliwy; po prostu robiłem, co do mnie należało.

Zbiegając ze Skiddaw – po nierównej, usianej glazami darni, szybko i trochę nieuważnie – zboczyliśmy z trasy i wylądowaliśmy na południowej stronie Hare Crag. Wielu śmiazków wyłożyło się na tym błędzie. Wypadłszy z trasy, trzeba bowiem na nią wrócić, przedzierając się przez głębokie koleiny i zasieki z wrzosu. Cudownym zrzędzeniem losu trafiliśmy na wijącą się przez sam środek wrzosowego morza wąziutką ścieżkę, którą dawniej pędzono owce. To

był czysty przypadek, ale skoro już się na niej znaleźliśmy, raptem okazało się, że biegnie nam się lepiej niż właściwym szlakiem⁴⁰.

Była połowa sierpnia – późno jak na Bob Graham Round – noc była dłuższa niż podczas moich poprzednich prób. W chłodnym przedświcie pełznącym po Blencathrze marzły nam stopy; gdy zbiegaliśmy po drugiej stronie, nadal panował mrok. Przez to nie mogliśmy wrzucić najwyższego biegu, co kosztowało nas kilka minut. Nie przejąłem się tym. Wiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Nie zrobiłem sobie przerwy w Threlkeld, bo po co odkładać coś, co musi zostać zrobione? Gnałem przed siebie, niewiele mówiąc, za to sporo jedząc i pijąc, ale ostrożnie, żeby nie zrobiło mi się niedobrze. Beznamiętnie skupiałem się na zadaniu, jak gdybym był maszyną. Przypomniała mi się relacja jednego z pomocników Marka Hartella z biegu, gdy ten ustanawiał rekord siedemdziesięciu siedmiu szczytów:

– Cytował współrzędne z pamięci, przewidywał i ostrzegał o wszelkich błędach w nawigacji... Niezmordowanie wyprzedzał plan biegu.

Oto mój wzór do naśladowania.

Nie było feerii barw o świcie, ponieważ wierzchołki na grzbiecie Helvellyn otulała pierzyna z chmur. Mimo to widoczność okazała się wystarczająca, jak na moje potrzeby. Za każdym razem, gdy widziałem gęstą, szarą poduchę wokół szczytu, pocieszałem się myślą, że zdąży się rozwiać, zanim tam dobiegnę. Przeważnie tak było.

Powiedzieć, że wszystko szło zgodnie z planem, byłoby uproszczeniem. To sprawiał raczej mój stan umysłu. Kilka razy biegliśmy w gęstej chmurze. Zamiast się zniechęcić, wykorzystałem okazję, by się schłodzić. Kiedy się z niej wydostaliśmy, cieszyłem się, że znowu coś widać.

Nie jestem przesądny, nie wierzę też w Opatrzność. A jednak zdołałem przekonać samego siebie, że nie wiedzieć czemu gdzieś tam w niebie zarządcono, że moja próba ma się skończyć powodzeniem – albo raczej, że jeśli wybiorę sukces, nic nie stanie mi na przeszkodzie. Wcześniej wierzyłem – choć nie ubierałem tej wiary w słowa – że o ostatecznym wyniku decydują bogowie. Tym razem decyzja należała do mnie.

W połowie drogi na Steel Fell zatrzymałem się na pierwszy odpoczynek. Biegłem mniej więcej zgodnie z planem. Zyskałem trochę czasu, przeznaczając na przerwę dziesięć minut zamiast dopuszczalnych dwudziestu. Tak jak podczas

⁴⁰ Obecnie na tym fragmencie co roku powstaje wąska ścieżka, wydeptywana stopami licznych śmialków, trenujących lub mierzących się z Bob Graham Round (przyp. kons.).

wcześniejszych prób nieuchronność porażki pozbawiała moje nogi energii, tak tym razem przekonanie, że osiągnę sukces, pomogło mi uchronić się od bólu. Wyobrażając sobie tę chwilę – gdy z mozołem będę pokonywał ostatnie, niemożliwie strome pięćdziesiąt metrów prowadzące na grzbiet Steel Fell – sądziłem, że będę musiał sięgnąć głębiej, poza wycieńczenie i zniechęcenie, i wydobyc stamtąd marne resztki morale. W rzeczywistości czułem się... świeżo. Albo raczej, ponieważ zamierzałem utrzymać się na nogach jeszcze przez prawie szesnaście godzin, nie czułem nic.

Biegłem dalej, połykałem szczyty – naprawdę tylko tyle potrafię powiedzieć. Nie było w tym nic pięknego ani magicznego; umysł wypełniały mi współrzędne i czasy, byłem zajęty skupianiem się na wykonywanym zadaniu. Pamiętam jednak, że kiedy zbiegaliśmy z Langdale Pike, ujrzałem masyw Scafell w otulinie z chmur i pomyślałem, że kiedy do niego dotrzemy, tych chmur już nie będzie. I miałem rację.

Pamiętam również, jak dotarłem do Scafell Pike i uzmysłowiłem sobie, że jak dotąd ani przez chwilę nie lękałem się Broad Stand. Niemożliwe. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żebym podszedł do tak przerażającej wspinaczki bez nakręcania w sobie spirali strachu. Muszę natychmiast zacząć panikować. Powstrzymałem się. Co ja robię? Przecież decyzja o wspięciu się na Broad Stand była niepodważalna. Banie się nie miało sensu.

Kilka minut później stałem już u stóp Broad Stand. Charles (znow biegł z nami od Wasdale) pomagał mi zamocować linę. Patrzyłem w górę i nie czułem kompletnie nic. Oby tak dalej. Po kilku minutach wspinaczkę miałem już za sobą i odpoczywałem na ponoć płaskiej (w rzeczywistości dość mocno nachylonej) półce skalnej tuż nad Broad Stand, a Charles pomagał swojemu bratu Richardowi dostać się na górę. To nie tak, że nie czułem lekkiej obawy – bo gdyby tak było, nie siedziałbym jak najdalej od krawędzi, przytulając się do skały – ale lęk był czysto teoretyczny; tak naprawdę nadal nic nie czułem. W ogóle nie myślałem o ziejącej niżej przepaści ani o tym, jak łatwo byłoby stracić równowagę albo poślizgnąć się i runąć w dół bez nadziei na ratunek. Nawet jeśli takie myśli kielkowały w mojej głowie, szybko wyrывałem je z korzeniami.

Jeśli kiedykolwiek cierpiełeś na lęk wysokości, zapewne jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak niezwyklej rzeczy dokonałem. Oczywiście przedtem i potem zdarzało mi się skutecznie tłumić strach i zawroty głowy – kiedy zmuszałem się do zrobienia czegoś, na co nieszczególnie miałem ochotę – ale tylko wtedy, na szlaku Boba Grahama, lęk był niemal całkiem nieobecny.

Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę i wkrótce dotarliśmy do wierzchołka Scafell, poczułem przyływ euforii. Na jej fali płynąłem jeszcze wiele godzin. Zyskałem piętnaście minut. Na odpoczynek straciłem tylko kilka chwil. Przedemną znajdowało się Wasdale Head. Czterdzieści stosunkowo łatwych minut. Nadal trzymałem się planu, a to oznaczało, że po raz pierwszy miałem realną szansę na sukces. Przedem wszystkim jednak przestałem się okłamywać, stawiałem czoło Broad Stand i wyszedłem zwycięsko z tej konfrontacji. Skoro udało mi się to zrobić, wszystko było możliwe.

Nie inaczej. Pognałem bardzo, bardzo długim zboczem w dół ku Wasdale – tym samym, które pięć lat wcześniej doprowadziło mnie do rozpaczki. Tym razem leciałem jak na skrzydłach, ślizgałem się po piargach, niemal krzycząc z zachwytem, i zjeżdżałem na tyłku po stromym, trawiastym odcinku stoku – o tak, dla radochy. Minąłem obozowisko bez zatrzymywania się, potem, wciąż rozgrzany zbieganiem, zaatakowałem Yewbarrow, zrobiłem sobie krótką przerwę, a następnie podjąłem długą, mozolną wspinaczkę na Red Pike, Steeple i Pillar. I znowu nie ma o czym opowiadać. Słońce zaszło, ale zupełnie nie pamiętam chwili, w której skryło się za horyzontem, bo nie miałem czasu na podziwianie widoków. W stu procentach koncentrowałem się na wykonywanym zadaniu i na jego wyniku – który sam wybrałem.

Wtedy nagle, po osiemnastu godzinach wyścigu, coś się zepsuło. Nie jestem pewien co i dlaczego – być może zaskoczyła mnie nagle noc, albo może spadł mi poziom cukru we krwi – ale stało się tak, że w drodze z Pillar na Kirk Fell załała mnie koszmarnie wysoka fala zmęczenia. Świat się zachwiało. Nogi mi drżały za każdym razem, gdy je podnosiłem. W łydkach czułem zapowiedź skurczu. Pomocnicy niechętnie zwolnili do mojego tempa biegu. Głowę miałem tak ciężką, że nie byłem w stanie utrzymać jej prosto.

Powlokłem się nogą za nogą przez przełęcz Black Sail i wspiąłem na Kirk Fell, ale na murze obronnym wzniesionym przez mój umysł zdążyło pojawić się pęknięcie. A jeśli znów mi się nie uda? Może po prostu powodzenie nie jest mi pisane? Euforia i pewność siebie, towarzyszące mi przez ostatnie kilka godzin, wyparowały bez śladu. Myślałem tylko o tym, że wykorzystuję maksimum siły woli, by dotrzeć do szczytu najbliższego wzniesienia.

Towarzysze patrzyli na mnie z troską, ale nie odzywali się, żeby nie pobudzać mojego rosnącego defetyzmu. Próbowałem uzupełnić zapasy energii, jedząc suszone morele, a potem dodawałem sobie otuchy myślą, że w połowie stoku zrobię dwie minuty odpoczynku. Przerwa skończyła się, zanim zdążyłem złapać oddech. Parłem więc dalej, kołysząc się i potykając, łudząc się kolejną obietnicą:

że przystanę na odpoczynek w połowie drogi na Great Gable. Powszechnie uważa się, że właśnie ten fragment trasy (gdzie pokonuje się ją w tym samym kierunku, jak zrobił to Bob Graham) jest jednym z najtrudniejszych, obejmuje bowiem trzy najwyższe wzniesienia – Pillar, Kirk Fell i Great Gable – następujące szybko jedno po drugim. Dalej robi się już łatwiej, ale świadomość tego wcale nie pomaga w pokonaniu morderczego, bolesnego odcinka. Ilość podbiegów i zbiegów łapczywie wysysa z ciebie siły i morale.

W jednej trzeciej drogi na szczyt Great Gable padłem na ziemię.

– Dwie minuty – wymamrotałem do Charlesa.

Ciężko dysząc, wyjąłem kilka moreli i zjadłem je, popijając wodą.

– No już, biegnijemy – powiedział Charles, kiedy minęło, nie wiem, może dziesięć sekund.

– Pięć minut – wysapałem.

Charles łypnął na zegarek.

– Tracisz mnóstwo czasu. Nie możesz sobie na to pozwolić.

Słyszałem napięcie w jego głosie, ale nic nie mogłem poradzić.

– Daj mi pięć minut – upierałem się.

Kilka minut później nadal leżałem na ziemi. Słyszałem czyjś szept. Potem znów odezwał się Charles. Nie pamiętam, co dokładnie powiedział, wiem tylko tyle, że zarówno jego ton, jak i słowa, zabrzmiały zaskakująco poważnie. Rzekł mniej więcej coś takiego:

– Byłoby niezmiernie szkoda, gdybyś nie wykorzystał tej szansy do końca.

A przekaz między słowami brzmiał:

– Wstawaj albo leć ci ukręć.

Już się robi.

Przekręciłem się na bok – tak jak przekręcasz się z boku na bok w poniedziałek rano, kiedy w półśnie wahasz się, czy na pewno jesteś już gotów, by wstać i pójść do pracy, czy jednak możesz jeszcze pospać. Które wybrać? Wysunąć się spod kołdry czy szczelniej się nią opatulić? W pewnym momencie trzeba się zdecydować, choć przecież obie opcje mają swoje minusy. Tymczasem wygrywał sen. Docierało do mnie, że już nie mogę dłużej się wahać – czas wybrać. Ta chwila zawierała w sobie wszystkie pozostałe. Wszystkie nadzieje i wysiłki, cały trud ostatnich pięciu lat skondensowany do jednej minuty. Wybrać porażkę czy sukces?

Bez słowa dźwignąłem się na nogi. Nie myśleć o tym. Przed siebie i w górę, kołysząc się na boki. Nieważne, że wolno. Nieważne, że boli. Dokonałem wyboru – tak jak wtedy na drodze w Devon. Nie było innej możliwości, jak tylko wytrwale stawiać nogę za nogą aż do samego końca.

Było coraz ciemniej, nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się szczyt, ale robiło mi się coraz lżej na sercu. Widmo porażki odeszło. Prędzej czy później dotrę do wierzchołka. A kiedy dotarłem, już wiedziałem, że jestem w stanie to zrobić. Wprawdzie straciłem czterdzieści minut z planu obliczonego na dwadzieścia trzy godziny, ale nadal zostawało mi dwadzieścia minut zapasu, jeśli chciałem ukończyć trasę w czasie poniżej dwudziestu czterech godzin. Nie musiałem nadganiać, już nie musiałem wspinać się na wysokie góry; zostało jedynie sześć prostych wzniesień, z każdą minutą coraz mniej onieśmielających.

Kiedy dotarliśmy do przełęczy Honister, noc była czarna, a skurcz znów zaatakował. Nie było jednak mowy o wycofaniu się. Po drodze na Dale Head zatrzymałem się na pięć minut, napiłem się gorącego bovrilu, a dwoje szczęśliwców – chyba Clare i Baer – dostąpiło zaszczytu wymasowania mi ud.

– To jednak twarde! – powiedział ktoś. – Kto by pomyślał, że dotrze aż tutaj?

Właśnie takiej uwagi potrzebowałem, żeby odzyskać nieco straconej pary w nogach. Nie sądzili, że wytrwam tak długo, co? No, to ja im jeszcze pokażę. W 1988 roku Billy Bland zbył próbę Marka McDermotta pobicia rekordu Jossa Naylora (przypomnijmy: siedemdziesiąt dwa szczyty) słowami: „Ten gość urwał się z choinki”, a potem gorzko żalował.

Ruszyłem w dalszą drogę, prosto w ciemność, jednocześnie próbując zjeść banana i gratulując samemu sobie, że udało mi się uszczknąć kolejne dziesięć minut z rozpiski Rogersona (przewidującej piętnastominutowy odpoczynek w tym punkcie trasy). Teraz wystarczyło tylko pobiec dalej i nie zgubić się.

To drugie nie było takie proste, jak się wydawało, ponieważ przez warstwę chmur nie przebijały się ani blask księżyca, ani światło gwiazd. Z Dale Head, Hindscarth i Robinson poszło nam dość łatwo. Kiedy uświadomiłem sobie, że mam już za sobą wszystkie czterdzieści dwa wzgórza, poczułem rosnącą euforię. Lecz kamienisty stok Robinson potrafi splotać figła: dotarłszy na dół, trochę się pogubiliśmy w nieprzeniknionych ciemnościach i przez chwilę nie mieliśmy zielonego pojęcia którędy dalej.

Na szczęście panika szybko minęła. Namierzaliśmy wiejską dróżkę i wkrótce znalazłem się tam, gdzie od pięciu lat pragnąłem się znaleźć: minąłem Newlands Chapel i z ponadgodzinnym zapasem ruszyłem w stronę Keswick. Nie było możliwości, żebym się teraz zgubił (biegacz z południa zawsze będzie biegaczem z południa, bo można się rozplwać nad cudownościami gór i bezdroży, ale znalezienie konkretnego kawałka traktu zawsze człowieka uspokaja).

Radość rozluźniła mnie do tego stopnia, że niemal zasnąłem podczas biegu. Zwalniałem i marszem pokonywałem odcinki, które spokojnie mogłem prze-

biec, a jeśli już zdecydowałem się na bieg, to raczej powłóczyłem nogami. Nie było sensu się wysilać, nie chciałem przecież ryzykować spotkania ze ścianą w takim momencie. Miałem ochotę rozsiaść się wygodnie i rozkoszować chwilą.

Dziesięciokilometrowy bieg po kumbryjskich drogach w środku nocy z pewnością nie każdemu kojarzy się z relaksem i błogą przyjemnością, ale w moim przypadku poczucie zadowolenia było wręcz przytłaczające. Noc była spokojna, dokoła nas rysowały się głębokie cienie drzew, budynków i gór o dziwnych kształtach. Newlands Chapel przycupnęła między drzewami po lewej stronie. Ciepłe powietrze było czyste i słodkie, a łagodny wietrzyk niósł ze sobą tajemnicze odgłosy, dźwięki wydawane przez nocne ptaki, owce i inne, bliżej nieokreślone, stworzenia. Otaczali mnie przyjaciele, którzy rozmawiali zdawkowo, jak to pod koniec długiego, udanego, letniego wieczoru. Biegłem jak we śnie, niby unosząc się w powietrzu, niezbyt szybko, ale miękko, bezboleśnie i cierpliwie; takim rytmem mógłbym poruszać się całą noc.

Nadal byłem do pewnego stopnia obojętny, zarówno na własne emocje, jak i na otoczenie, lecz ten kokon, jaki celowo wokół siebie utkałem w ten sierpniowy dzień, powoli zaczynał się kruszyć. Już nie musiałem koncentrować się na wykonywanym zadaniu, mogłem pozwolić sobie na odrobinę satysfakcji z dobrze wykonanej pracy. Wysokie żywoploty Portinscale na południowo-zachodnim krańcu Keswick w zasięgu naszego wzroku oznaczały, że do mety zostało raptem półtora kilometra. Naraz wszystkie te lata rozczarowań, frustracji, wstydu, niepokoju i bólu odeszły w niepamięć. Poczulem, że pozbywam się ich, jakbym zrzucił kamień z serca, i naraz uzmysłowiłem sobie, jak bardzo mi ciążyły. Z każdym krokiem zbliżałem się do celu, o którym marzyłem i za którym tęskniłem, a mimo to nie czulem zniecierpliwienia. To już się dokonało. Pokonałem góry. A raczej: pokonałem samego siebie.

Ostatnie metry pamiętam jak przez mgłę. Dotknąłem ogrodzenia przy Moot Hall dwadzieścia osiem minut po północy – dwadzieścia trzy godziny i dwadzieścia osiem minut od startu. Pamiętam, że jacyś pijani goście wychylali się z okna hotelu i rzucali mięsem. Ktoś zrobił ciemne, całkiem rozmyte zdjęcie (mam je w swoich zbiorach), na którym opieram się o plastikowy kosz na śmieci przed Moot Hall; jestem zawinięty w koc termiczny, mam czerwone oczy od flesza, a moja dwuletnia córeczka Isobel siedzi na rękach u dziadka i mruga speszona. Ktoś inny otworzył butelkę szampana i rozdystrybuował plastikowe kubeczki. Jeden z moich zajęcy, Matt, świeżo upieczony miłośnik biegów górskich, który wytrwale towarzyszył mi od Wasdale, szybko wypił swoją porcję i natychmiast zwymiotował. Ja wziąłem tylko łyżeczek szampana i niewiele brakowało, żebym

poszedł w ślady Matta. Potem, oszołomiony tym, że inaczej niż do tej pory, po spotkaniu ze szlakiem Boba Grahama nie poczułem zawodu, czym prędzej udałem się spać.

Następnego dnia z równym zdumieniem stwierdziłem, że nie czuję bólu, nie mam żadnych siniaków i nie jestem cały zesztywniały – w przypadku poprzednich prób wszystko to prześladowało mnie przez długie tygodnie po biegu. Czulem wszakże przemożne, wyciszające zmęczenie. Przez kilka dni po wyścigu przesyślałem po dziesięć godzin każdej nocy i z trudem opanowywałem senność przez resztę dnia. Letarg minął dopiero po dobrym miesiącu.

To podobno zupełnie naturalna reakcja na nienaturalny wysiłek, do którego zmusiłem własny organizm. Wiem, że chodziło o coś jeszcze: o głęboki spokój duszy, który odczuwa człowiek, kiedy wreszcie uda mu się pozbyć brzemienia niedokończonych spraw.

STOPY W CHMURACH

OPOWIEŚĆ O PASJI I OBSESJI BIEGANIA

Niezwykłe wciągająca opowieść o biegach górskich: o miejscach, gdzie się narodzyli i o ich bohaterach. Książka Askwitha sprawi, że sam zechcesz zmierzyć się ze szlakiem: z górami, błotem, kamieniami i znojem. Oto biegi górskie w najczystszej postaci!

Scott Jurek, ultramaratończyk, autor bestsellerowej książki Jedz i biegaj

To jedna z najlepszych książek o biegach górskich. Autor w niezwykle plastyczny sposób, z pasją, ale i z humorem opowiada o tym niesamowitym sporcie, którego gwiazdom nie towarzyszą kamery i tłumy kibiców.

Jako rodowity mieszkaniec Beskidu Sądeckiego czuję tę magię, znam pokonywanie kolejnych podbiegów i zbiegów w harmonii z przyrodą, z dala od miejskiego zgiełku. Rozumiem ten uszczęśliwiający wysiłek, pozwalający sprostać kolejnym wyzwaniom.

Stopy w chmurach to dla wszystkich biegaczy lektura obowiązkowa, która być może stanie się początkiem niezapomnianej przygody z górami.

*Zygmunt Berdychowski,
maratończyk, pomysłodawca i organizator
Festiwalu Biegowego Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju*

Ta książka wciąga nas w nieznaną świat ludzi mknących w deszczu po górskich stokach. Świat zimnej skóry, mokrej darni i skał. Odległy i egzotyczny, choć znajdujący się o godzinę jazdy od metropolii północnej Anglii. Gdy Joss Naylor czy Billy Bland śmigali w latach 70. po szczytach Lake District, nie wiedzieli, że ani krajowi, ani zagraniczni herosi do dziś nie będą w stanie zbliżyć się do ich wyników. A biorąc pod uwagę fakt, że z kręgosłupa Jossa usunięto wcześniej dwa dyski, te osiągnięcia trzeba uznać po prostu za niebywałe.

Peleton dzisiejszych ultramaratończyków, ubranych w najnowsze kompresyjne ciuchy, lekkie terenowe buty i membranowe kurtki, nagle wydaje się żaloszny. Czytając *Stopy w chmurach*, zaczynamy rozumieć, jak bardzo współczesne bieganie oddaliło się od swoich korzeni, jak jesteśmy zależni od nowoczesnej techniki i jaka jest nasza rzeczywista sprawność.

Ze szlakiem Boba Grahama zetknąłem się w 2009 roku, w opowieściach angielskich biegaczy. Dopiero rok później, po kilku rekonesansach na trasie i bardzo mocnym sezonie zimowym zaliczyliśmy z żoną tę przeklętą rundę. Nie mamy z tego biegu medali ani dyplomów. Pozostało nam zdjęcie na rynku w Keswick, nazwiska na liście członków Bob Graham 24-hours Club i ogromna satysfakcja, że udało się zmierzyć z legendą.

*Krzysztof Dołęgowski, ultramaratończyk,
redaktor portalu napieraj.pl*

PATRONAT MEDIALNY



Bieganie

ISBN 978-83-7579-307-9

